



IDEE PRZEWODNIE

□ □ □ ANTROPOGEOGRAFII

2

Ponure otoczenie lodowatej przyrody z jej bezlitosną zimą, która na całe miesiące pozabawia kraj ożywczych promieni słońca, nie pozostaje bez

wpływu na usposobienie mieszkańców. Widzimy tam eskimów — lud, który cięższy się niezamąconym spokojem ducha.

Długotrwały mrok usposabia ludzi ponuro i podkopuje ich zdrowie. To też tylko ludzie obdarzeni pogodnym i wesołym usposobieniem zdołali utrzymać się przy życiu. Na mocy prawa dziedziczności przekazali oni swą niepokonaną wesołość potomkom, którzy w sercach pielęgnują ów skarb pod grozą niechybnej zagłady, jaką przeznacza przyroda

tym, którzy utracą pewność i swobodę ducha. „Tu właśnie kryje się pewien dobór duchowy“, którym objaśnia Kirchhof wspomniany fakt.

Do art. „O zamkach polsko-inflanckich“.



ZWALISKA ZAMKU RZEZYCKIEGO

Nietylko wszakże niska temperatura może decydować o rozpowszechnieniu człowieka, lecz i wysoka. W czasach starożytnych i średniowiecznych przypuszczano, że w krajacl zwrotnikowych operacja słoneczna jest tak silna, że życie czło-

wieka staje się tam niemożliwe. Oczywiście mniemanie to było błędne. Olbrzymie obszary strefy gorącej są mało zaludnione lub zupełnie niezamieszkałe nie wskutek nadmiernego upału, lecz dla

braku wilgoci. Wskutek suchości powietrza, co pozostaje częstokroć w związku z wysoką temperaturą, i braku opadów atmosferycznych od Mongolii aż po zachodnie krańce Afryki ciągnie się olbrzymi szmat ziemi mało zaludniony. Jedne okolice tego obszaru — stepy — są zraszane tylko w pewnych porach roku i wówczas pokrywają się trawą, inne zaś wcale prawie nie korzystają z opadów atmosferycznych i stanowią wiecznie martwą pustynię. Step, a tembardziej pustynia, wywierają widoczny wpływ na człowieka. W przeciwieństwie do mieszkańców dalekiej północy, niskich, krępych i niezgrabnych, ci synowie słońca są najczęściej wysmukli, kształtni, zwinni i ruchliwi. Rysy ich regularne, oczy — pełne życia. Pewien jednak smutek i powaga cechują twarz mieszkańca pustyni lub stepu. Wynika to z samotnego przebywania wśród jednostajnego wiecznie otoczenia. Wskutek ciągłego naprężenia mięśni odznaczają się oni chudem i żyłastem ciałem, tylko wśród Kałmuków są pewne wyjątki, mianowicie kapłani-płaczki, którzy cały dzień siedzą w namiotach i nabierają przez to tuszy. W głosach synów pustyni pod palącymi promieniami słońca zapalają się bardzo łatwo gniew i namiętność. Krwawa zemsta panuje tu wszechwładnie.

Bystrość zmysłów u ludów stepowych i pustynnych jest wprost zdumiewająca. Sama ziemia wyćwiczyła ich w tym kierunku, powołując w codziennej walce o byt wszystkie zmysły do gorliwego współdziałania. Słuch ich chwytą najłżejsze drganie powietrza zupełnie niedostępne dla naszego ucha. „W Australii przechodnie rozmawiają z sobą długo jeszcze po rozstaniu się, idąc w kierunkach przeciwnych. Pół wiorsty stanowi dla Kałmuka odległość dogodną dla rozmowy, gdyż na takiej przestrzeni nie potrzebuje on jeszcze podnosić głosu, aby być zrozumianym“ (Kirchhof). Mieszkaniec pustyni lub stepu, posiadający doskonale rozwinięty zmysł węchu, po zapachu rozpoznaje trop człowieka nieraz po upływie kilku dni, chociażby nawet na kamienistym gruncie nie pozostało żadnego śladu. Prawdziwy jednak podziw budzi niezwykła bystrość wzroku. Rozwój zdolności dalekiego widzenia może powstać tylko pośród rozległego widnokregu. „W ustawicznej walce o byt nauczył się człowiek

panować nad nieskończonymi obszarami pustynnego lub stepowego krajobrazu przy pomocy swego orlego wzroku, a tę wciąż rozwijającą się zdolność dziedziczyło i doskonaliło każde następne pokolenie. Dlatego właśnie suche obszary są na wszystkich ładach miejscami największego rozwoju wzroku.

Czarny mieszkaniec Australii, szukając miodu, ściga wzrokiem pszczołę swej ojczyzny, nie większą od naszej muchy pokojowej, na 18 m. wysokości w mrokach gąszczy leśnych“ (Kirchhof).

Wśród nagiego, monotonnego krajobrazu, przerywanego gdzieniegdzie tylko oazami zieleni, życie w ciężkich warunkach biegnie powoli, idee i zwyczaje trwają całe wieki bez zmiany, proste, jednostajne, nie wykraczające poza pewne granice.

Stepy i pustynie, posiadające swoiste warunki klimatyczne, sprzyjały oczywiście rozwojowi koczownictwa i pasterstwa.

W porównaniu z pustyniami i stepami z ich rozległym horyzontem i ciągnąciami się w nieskończoną dal przestrzeniami, nie krępującymi swobody ruchów człowieka, okolice górskie otoczone i jakby odcięte od reszty świata niebotycznymi, ponurymi szczytami i złomami skał stanowią zupełne przeciwieństwo i tworzą nader charakterystyczne środowisko, którego fizyczne warunki nadają osobliwe cechy mieszkańcom i ich życiu.

W okolicach górskich ludność gromadzi się zwykle u podnóża gór, w dolinach mniej lub więcej rozległych. Wzrastanie jednak ludności w dolinach częstokroć zmusza człowieka, poszukującego środków do egzystencji, do zakładania siedzib na nagich urwiskach i nieurodzajnych zboczach i szczytach.

Rozkoszując się cudnymi krajobrazami, wdychając czyste powietrze górskie i odorującą woń traw, nie zastanawiamy się bynajmniej nad warunkami życia pierwotnej ludności, zamkniętej w dolinach: Pośród wspaniałych szczytów wszystko nam się wydaje piękne, a jednak jak ciężkie są warunki życia mieszkańca doliny! W wielu np. zacieśnionych dolinach alpejskich, podobnie jak w krajach podbiegunowych, słońce jest tylko gościem w ciągu nieznaczącej części roku, zimą zaś niema tam wcale jego ożywczych promieni, a tylko słaby ich odbłask. To też ponure, wilgotne doliny, gdzie człowiek cierpi więcej

z powodu braku światła, niż chłodu, są siedliskiem rachityków, wolowatych, strumowatych i kretynów. Jedna z wiosek alpejskich otrzymała ongi nawet miano Villard-Goîtreux. Obecnie, naturalnie, warunki pod tym względem zmieniły się na lepsze dzięki oświacie, która wydała już tam owoce, podnosząc warunki higieniczne ludności.

W okolicach górskich, wzniesionych znacznie nad poziom morza, wskutek rozrzedzenia powietrza człowiek otrzymuje przy oddychaniu daleko mniejszą ilość tlenu, niż mieszkaniec nizin. Otóż zanim uzyska on prawo obywa-

telstwa na takim obszarze ziemi, musi uległ pewnym przekształceniom pod wpływem miejscowych warunków. Ludy górskie w porównaniu z ludnością nizin wykazują większą ilość czerwonych ciałek krwi, u mieszkańców np. wyżyn wzniesionych 4,000 m. nad p. m. w 1 mm. sześciennym krwi liczba czerwonych ciałek dochodzi do 8 milionów, a nawet i więcej, gdy tymczasem u mieszkańców wybrzeży morskich przypada około 5 milionów na 1 mm. sześcienny.

d. n.

Cz. Statkiewicz.

Dwa zabytki Jurborga.

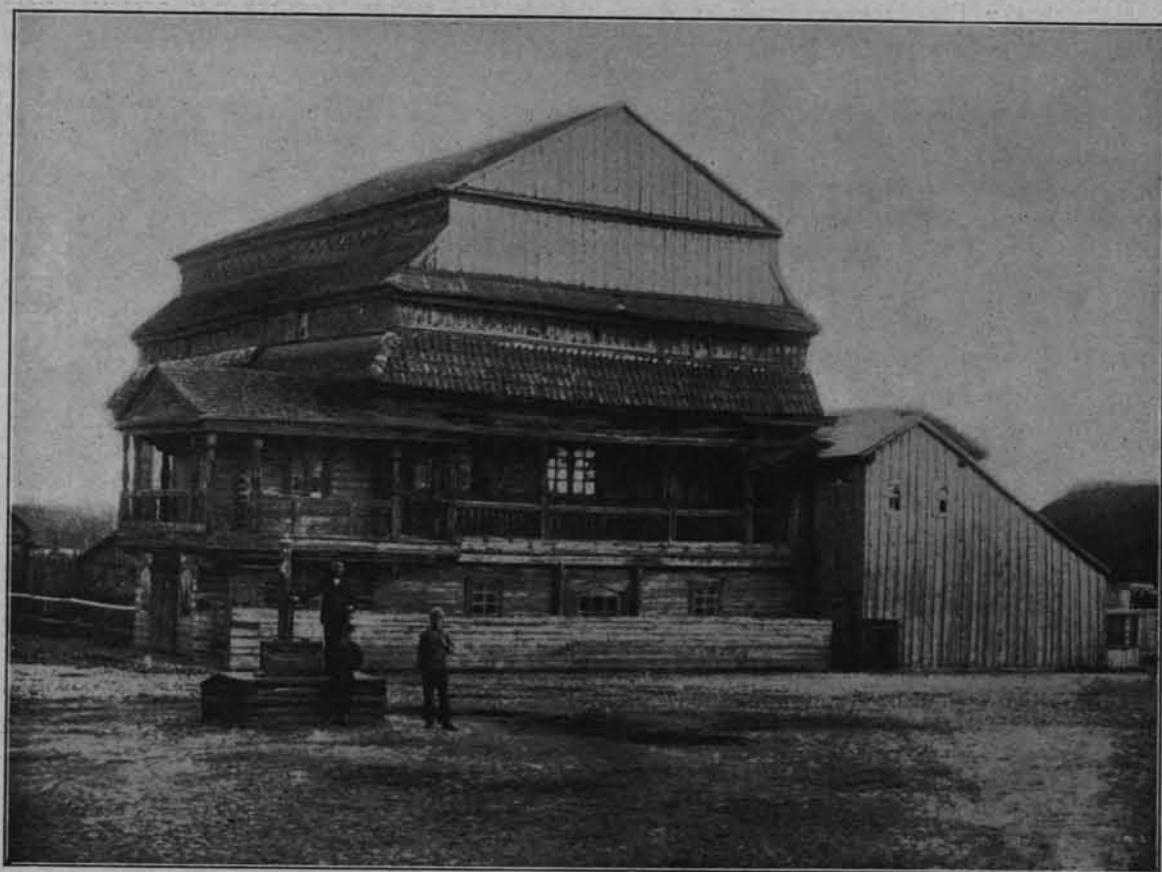
Podjeżdżając statkiem parowym po Niemnie od strony Kowna do Jurborga, zdala już, bo o parę wiorst można dostrzedz dominującą prawie nad miasteczkiem niezwykle oryginalną budowlę, przy-

pominającą w ogólnych konturach jakąś chińską lub mandżurską pagodę. Jest to dawna synagoga sięgająca połowy XVIII wieku, zbudowana jak głośzą napisy hebrajskie we wnętrzu, kosztem i



DWOREK W JURBORGU.

Mal. W. Leszczyński.



BÓŻNICA W JURBORGU.

Mal. W. Leszczyński.

staraniem miejscowego kupca Icka Taube około 1759 roku.

Patrząc na tę wielce charakterystyczną budowlę, pomimowoli przychodzi na myśl słowa naszego wieszca:

„Stara, wedle dawnego zbudowana wzoru,
Który był wymyślony od tyryjskich cieśli,
A potem go Żydowie po świecie roznieśli:
Rodzaj architektury obcym budowniczym
Wcale nieznanym; my go od Żydów dziedziczym.
...Dach z dranic i ze słomy, śpiczasty, zadarty,
Pogięty, jako kołpak żydowski podarty...
Słowem—stara budowla, chwiejąca się, krzywa,
Podobną jest do Żyda, gdy się modląc kiwa:
Dach jak czapka, jak broda strzecha roztrząsniona,
Ściany dymne i brudne, jak czarna opona
A z przodu ganek sterczy, jak cyces na czole“.

W swej „Encyklopedyi starożytnej ilustrowanej“ Zygmunt Gloger wspomina też synagogę, jako wielce oryginalny zabytek ubiegłych czasów, nie podając wszakże rysunku. Zmarły niedawno nasz zbieracz i archeolog Matyas Bersohn wielce się nią interesował, zbierając po kraju zabytki dawne dotyczące osadnictwa Żydów w Polsce.

Jako wybitny i najbardziej typowy okaz wiejskich budowli z drzewa tak rozpowszechniony przed laty po całej Litwie i Białej Rusi, podajemy tu stare dworzyszczce dawnego typu, jaki już w obecnych czasach kosmopolityzmu, coraz to rzadziej daje się napotkać wobec częstych pożarów, chłonących nieraz całe wsie, osady i miasteczka, zbudowane z tak palnego materiału—jakim jest stare, suche, dobrze wyschnięte latami a smoliste drzewo.

Z żalem zaznaczyć należy, iż ogólny typ i charakter budowli drzewnych tak w czasie obecnym stał się u nas szablonowo-konwencyjonalny, że zdawałoby się, iż budowniczowie nasi unikają starannie tego wszystkiego, co stanowi główny i zasadniczy typ tego rodzaju budowli tak w ornamentowaniu i spojeniach węglów, jak i w skrzyżowaniu i zdobieniu belkowań. A przecież to tak wdzięczny materiał!..

Dość spojrzeć na te dwa ganki olbrzymie z okapem, połowa których stanowi obszerną i wygodną sień, na kolumny i baryerki z toczoymi balaskami, na drzwi zamcyste i białe obramowania okien

na szarem tle ścian dźwigniętych z okrągłaków, by się przekonać, że dziadowie nasi umieli jednak łączyć względy estetyczne z wygodą i potrzebą własną.

Dzisiaj budowniczy stawia nam jakieś cudackie

(najczęściej) szalety w stylu norweskim, szwajcarskim, ruskim, zresztą—Bóg wie jakim, ignorując zupełnie motywy swojskie, zastosowane do naszego klimatu i warunków miejscowych.

Wł. Leszczyński.



O zamkach polsko-inflanckich.

4



HERB KOMTURA DYNEBURSKIEGO.

II.

Około roku 1277 landmistrz krzyżacko-inflancki, Ernest Rassburg, zbudował zamek warowny Dunenborg, z którego obecnie zaledwie ślady pozostały.

Zamek ten oddalony był od dzisiejszej twierdzy dyneburskiej około dwóch mil w górę Dźwiny, nieopodal Józefowa (dziedzicznej dziś posiadłości

ści p. Bohdana Szachny) na odosobnionej górze nadzwyczaj wąskiej na prawym brzegu rzeki pośród dwóch krzakami gęsto ocienionych parowów, którymi sączą się strumyki, wpadające do Dźwiny.

Dzisiaj gruzy tylko zalegają miejsce, noszące i po dzień dzisiejszy nazwę „starszego zamku”. U stóp warowni, tuż przy podzamczu, rozciągnął się gród Dyneburg.

Do tej warowni przeniósł już w roku 1277 zakon krzyżacko-inflancki komandoryą Wolkimborską, której mury wiekowe przetrwały dotąd na górze Wolkenberg.

W roku 1316 litewski książę Witenes zdobył i zburzył warownię dyneburską. Lecz niebawem z gruntu ją odbudowano jeszcze wspanialej, jak to uwidoczniła jej widok podany w rozdziale poprzednim.

Komandorya dyneburska niepoślednią w dziejach Inflant odgrywała rolę. To też komtur dyneburski posiadał osobny herb: pole na 2 części podzielone, w wyższej Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus między dwoma słupami, w niższej postać człowieka, podnoszącego zamek do góry. Był to równocześnie i herb samego zamku. Podobi-

znię podajemy na załączonej autotypii z odciskiem pieczęci z roku 1397 na wosku żółtym.

Znojni urządy komturów piastowali tu, o ile dotąd wiadomo:

1367 Teodor Twidach.

1387—90 Bernard Hewelman.

1414—17 Jan Szwarchof.

1422—27 Henryk Forste.

1431—36 Wolter Loe.

1436—37 Brunon Hirtzberg.

1439—45 Henryk Sprengel.

1445—46 Henryk Wedege.

1450 Jan Spar.

1450—53 Kort Fitinghoff.

1471 Edward Lapp de Ruer.

1473 Engelbert Lappe de Koningen.

1481—84 Wilhelm Bodinkhusen.

1501 Jan Winke de Owerberg.

1502—10 Wolter Plettenberg (bratanek landmistrza).

1513—25 Henryk Plater.

1527—34 Jan Ekel (Hylzen).

1535—54 Wilhelm Fürstenberg (późniejszy landmistrz).

1554—58 Gotard Kelter (późniejszy książę kurlandzki).

1558—62 Jerzy Zyberk ¹⁾.

Przy zawarciu traktatu wileńskiego 30 sierpnia 1559 r. przez zakon inflancki z królem Zygmuntem Augustem, były komtur dyneburski Gotard Ketter, już jako landmistrz inflancki, oddał w zakład Zygmunutowi Augustowi ten zamek rycerski wraz z jego rozległymi ziemiami na koszt wojenne podczas obrony Inflant od Moskwy. Pakta poddania się całych Inflant czyli Związku państwa inflanckiego temuż królo-

¹⁾ Ob. L. Arbusow „Die im deutschen Orden in Livland vertretenen Geschlechter“ (Mitawa, 1904 r.) strona 92-ga.

wi polskiemu w r. 1561 i przywilej unii z Wielkim Księstwem Litewskim r. 1566, a nakoniec wcielenie całych Inflant do Korony na sejmie lubelskim z roku 1569, ostatecznie zamek Dyneburg pod panowanie Polski poddały. Zdobył go Iwan Groźny d. 11 sierpnia 1577 r. po dwutygodniowym oblężeniu i srodze spustoszywszy, pociągnął ku Krzyżborkowi. Zaledwie jednak opuścił Inflanty, Polacy pod wodzą Wilhelma Platera ponownie opanowali zamek i wycięli zostawioną tam przez Iwana Groźnego załogę.

Ponieważ wtedy stary gród warowny mocno ucierpiał, przeto w r. 1582 z rozkazu króla Stefana Batorego został przeniesiony na miejsce dzisiejszej twierdzy. Odtąd pozostał Dyneburg w spokojnym posiadaniu Polski aż do rozbioru Rzpltej.

III.

W środku powiatowego miasta Rzeżycy, w dzielnicy zwanej „starem miastem“, stoją dotąd ruiny zamczyska, wzniesionego w r. 1285 przez wójta zakonu inflanckiego Wilhelma de Schauerburg na miejscu dawnego horodyszczka pogańskiej Łotwy.

Zwaliska te wznoszą się na ostrokągowym, mocno przyplaszczonym wzgórzu (może nasypie), wśród głęboko werżniętej doliny rzeki „Rzeżycy“. Nasyp ten niższy jest od urwistych brzegów jej dawnego koryta.

Stromo nad dzisiejszym łożyskiem rzeki w kierunku północnym, widnieją resztki dawnych mieszkań zamkowych, wzniesionych na najwyższej części wzgórza.

Widok ruin zamkowych podaje książka „Inflanckie polskie“ (Poznań, 1879 r.) na str. 124 i „Tygodnik Ilustrowany“ (Nr. 224 z r. 1880). Załączony zaś tutaj widok, wyjęty jest z naszej książki niemieckiej p. t. „Polnisch Livland“, już dawno wyczerpanej.

Niemal okrągły dziedziniec zamkowy (około stu kroków średnicy) ciągnie się ku północy i przedstawia niecułkowate wyżłobienie.

Częściowo tylko dochowany mur, otaczający zamek, dochodzi tu i owdzie do 9 stóp wysokości i w stronie północnej ciągnie się na samym brzegu pagórka, oczywiście na dawnych wałach, o 3 do 4 stóp nad powierzchnię wyniesionych.

Wały te, jak się zdaje, są dawniejszego pochodzenia i podług naukowo uzasadnionych przypuszczeń d-ra Augusta Bielensteina ¹⁾, sięgają ery

¹⁾ Ob. czasopismo „Baltische Monatschrift“ tom XXIX stronica 729.

pogańskiej. Prawdopodobnie więc rycerze krzyżacko-inflanckie usadowili się tutaj na dogodnym dla nich pogańskim horodyszczu.

Brak opieki ze strony władz miejscowych i potrzeba budowlanego materiału sprawiają, że resztki zamczyska coraz bardziej się rozpadają i w krótkim czasie prawdopodobnie ulegną zupełnej zagładzie. Nie dawniej jak w końcu wieku XVIII ruiny zamku rzeżyckiego wcale pokazić się przedstawiały, jak tego dowodzi załączona rycina owoczesna.

Wielką oddał usługę badaczom przeszłości inflanckiej niezrównany zbieracz Jan Krzysztof Brodze, uwieczniając zwaliska zamków inflanckich w swoich zbiorach, tak obecnie cenionych a własnoręcznie rysowanych przed 116-tu laty.

Ruiny zamku rzeżyckiego w początku XIX stulecia niewiele szwankowały, lecz zdaje się, że naprzód budowa drogi szosowej petersbursko-warszawskiej spowodowała stopniowe znikanie tego pomnika przeszłości krajowej, a następnie kolej żelazna i rozrost miasta coraz bardziej go pochłaniać zaczęły.

W Rzeżycy ostatnimi czasy stało dużo domów nowych, widocznie z materiału zamczyska budowanych, zaś u podnóża wałów zamkowych wzniesiono browar piwny znacznych rozmiarów z tegoż kamienia.

Od czasów założenia zamku w r. 1285 przebywał stale w Rzeżycy wójt inflanckich rycerzy zakonnych, niższy w dostojństwie od dyneburskiego komtura, ale od r. 1399 rozciągający swą władzę i do zamku lucyńskiego, o którym mamy mówić w rozdziale następnym.

Losy wójtostwa rzeżyckiego nie różniły się od kolei innych warownych miejsc dawnego państwa związkowego ¹⁾. Walki z Łotyszami i Litwinami wyprawy i odpierania napadów, oto ich wątek.

(c. d. n.) *Gustaw Manteuffel.*

¹⁾ Z wójtów zamku rzeżyckiego (arx Rositten) znani są w dziejach Inflant: Otton Paschedach (1285) Gerlach Haaren (1348 r.), Szymon Gunthaym (1422), Matyasz Bönigen (1438), Henryk Notteben (1439) Bernard Borch, późniejszy landmistrz (1470 r.), Gerwin Boltersheim (1470—1473), Wolter Plattenberg, późniejszy landmistrz (1485—1488 r.), Gerhard Howelen (1502—1507), Tomasz Owerlaker (1507—1514), Franciszek Dumstorpe (1531 r.), Dyderyk Bale (1532—35), August Roloff (1535—41), Bernard de Smerten (1542—1550 r.) i nakoniec Werner Schull de Bell (1555—1559 r.) który zdał zamek Rzeżycki Rzeczpltej polskiej naprzód jako zastaw, za koszty wojenne, poczem od r. 1562—1772 stanowił on integralną część Polski aż do jej rozbioru.

BÓR ŁYSOGÓRSKI.

Z pomiędzy cichych i sennych opiótków Nowej Słupi pnie się w zakosy droga ku Łysej górze. Zdaleka, z rynku, wzniesienie wydaje się łagodne, ale tutaj, kiedy tętna bić w skroniach zaczyna, nogi omdlewają, a rześisty pot oczy zalewa, nabiera się rychło zgoła odmiennego o tej łagodności przekonania. Zwłaszcza, kiedy w taki bezwietrzny, upalny dzień letni nagie, bezdrzewne zbocze zalewają potoki niemiłosiernego słońca.

Cisza tu już zresztą i spokój, nie pozbawiona jakiegoś przedsmaku dzikości. Od miasta ciągną się do stóp góry małe, skromne poletka, obsiane zbożem, gdzieindziej przerwane rozmięklą łączką, gdzieindziej zasiane gruzem, który się sypie od szczytu. Na granicy między polami i borem gruz ten przechodzi w potężne zwały skał, ciemne, mchem i krzakami obrosłe, groźne, jak resztki szafira, który niegdyś w piekielnym natarciu jakież tytaniczne siły zburzyły.

Z boku, tuż u wstępu do lasu, sterczy okaleczony posąg słynnego pielgrzyma, co się raz na sto lat ma o ziarno maku naprzód ku klasztorowi posuwać, a kiedy dojdzie, nastanie dzień sądu. W to kryształowo jasne przedpołudnie, kiedy w przemocnych uściskach słońca ziemia jakby omdlewa z rozkoszy i niemocy, kiedy ze zbielełego nieba nawet ptak chętnie przypada ku ziemi i nie słycać nic, jeno zcicha przelewający się brzęk rojów muszek, ten potworny obecnie pątnik wznosi swoją straszliwie okaleczoną twarz ku górze, wzywając pomsty czy miłosierdzia, skarżąc się jękiem stworzeń, które z cichej zadumy brutalnie wyrwano, którym wiekiustego spokoju już nikt i nic nie powróci.

A tuż za nim, jakby go chciał wziąć w swoje objęcia, stoi wielką i ciemną ścianą bór. Na pierwszy rzut oka, idzie od tej nieprzebitej okiem czerni prawie lęk. Kontrast między nieobjętym okiem, wzorzystym kobiercem pól i łąk, jaki leży pod nami, i tym głuchym i ciemnym borem jest tak mocny, żeby nawet najbardziej w myślach zatopionego wędrowca obudził z zadumy. Tam, na dole, cały przepych i cały wykwent tonów przelewających się łagodnie jeden w drugi, miękkich, stonowanych oddaleniem i rozpylonem w lekkich oparach światłem—tu jeden tylko ton, ale tak mocny, tak surowy, tak przygłuszający wszystko, jak huk dzwonu wieżowego, od którego trzęsą się i drżą mury i który kryje, głuży i wbija w ziemię święgotanie małych dzwoneczków. Z góry leje się,

jak przedtem, potop światła i żaru, ale przez te potężne konary na ziemię spada już tylko delikatny, złocisty deszcz światełek, kładących się lekko na ciemne i miękkie mchy. Dopiero kiedy oczy rozpatrzą się w mroku, czuje się, że ta siła, która zdaleka wydawała się taka groźna i mroczna, jest nie tylko piękna ale i dobrotliwa. Od wilgotnej pomimo skwaru ziemi idzie chłód, górą chodzi po wyniosłych konarach drzew ciągiły i cichy szmer, któremu jak słodka fletnia towarzyszy plusk prześlizgującego się dołem z pośpiechem strumyka. Wielkie, ale nagie, istotnie groźne turnie i wirchy są ponad wszelkie miary ludzkie wyniosłe, mają w sobie coś z małostkowością i cierpieniem człowieka niewspółmiernego, coś majestatyczne ponad nasze dla nich uczucie wzgardliwego. Wielkie wody, nawet wtedy gdy leżą sennie, bezwładne, zawsze mają coś w swojej zwodniczej piękności zdradliwego, coś co napęlnia nieufnością, co pcha do nich a powstrzymuje. Ale taki stary, odwieczny bór jest nie tylko mocny, ale łaskawy i bliski, daje się nie tylko podziwiać i miłować, ale i sam jakby przygarnia do siebie. Zwłaszcza kiedy iść w jego głąb, kiedy zacząć wydzielać z ogólnego wrażenia poszczególne nastroje.

Bo i tu, chociaż olbrzymią większość drzew stanowią jodły, z mniejszą znacznie domieszką buków, modrzewi i dębów, różnaitość obrazów leśnych, a zwłaszcza nastrojów, jest wielka. Oto ku wschodowi od wejścia od Nowej Słupi wtula się jak między uściski dwóch potężnych ramion, mała, śmiejąca się, światłem zalana polanka. Nad nią stromo ku górze dźwiga się ściana górską gęstym grzebieniem jodeł porośla. Ale jakich jodeł! Te, któreśmy widzieli u wejścia, są przy nich niczem i widocznie tu jest najstarsza, nietknięta od wieków siekierą poręba. Jak w niebo bijący słup wody, tryskają w górę gonne pnie niepokalanie równe, zawrotnie śmigłe, zuchwał. Czasem rozbiegają się, dając miejsce u stóp swych krzakom i skałom, czasem zbijają się w ciasną gromadkę i są wtedy jak jakiś wzniosły, grzmiący akord, który wieczyście bije od nizin wzwyż. Mimowoli ręka sięga do czapki, jakby się weszło do cudnej kaplicy gotyckiej, gdzie mistyczny, zielonkawo-złotawy półmrok sączy się z wysokich okien na posadzkę. Mimowoli też zwalnia się kroku, zwłaszcza, że drogę coraz częściej zagradzają poszarpane złomy skały ostrych, obślizgłych. Warto jednak dojść do samego szczytu, bo widok, jaki się stam-



JODŁA WYWRÓCONA.

Ze zbiorów T. Kr., fot. M. Wisznicki.

ąd roztacza, na tyły pasma Opatowskiego, na kraniec Łysej, na wciśniętą między te dwie wyniosłości, otoczoną dokoła lasem wioskę—Trzciankę—to znowu jeden z piękniejszych widoków, jeden z tych niewielu, które nam wieki ubiegłe zostawiły na pokaz.

Wogóle znaleźć w przeludnionem Królestwie taki kątek cichy, takie odludzie, jak tu w tym boru, nie jest rzecz łatwa. Można iść godzinami, można iść dzień cały bezmała nie spotkawszy żywej duszy przed sobą, nie widząc nic, jeno mchy i skały u stóp i lazurowy sklep nieba nad sobą. Tak było do niedawna przynajmniej, bo dziś bezwzględne, bezcelowe—czy może właśnie celowe—cięcie poręb wybija w tym, nieprzebitym murze szczyby dotkliwie, haniebne. O uwzględnianiu piękności krajobrazowych, o oszczędzaniu wąskich bodajby pasków zieleni dla zakrycia i uratowania widoku wzdłuż drogi, którą rokrocznie chodzą setki turystów, niema i zdaje się nie może być mowy. Coraz też trudniej wynaleźć jakiś głuchy, całkiem w sobie zamknięty ostępik, choć ostatecznie jest ich jeszcze po dziś dzień dość sporo.

Niektóre leżą nawet blisko od zwykłego szla-

ku, którym turyści z Nowej Słupi do Ś-tej Katarzyny przechodzą, i jeżeli nie są dość odwiedzane, to dlatego, że na zwykły gust mało w nich jest pociągającego. Do takich miejsc należy wejście do klasztoru świętokrzyskiego od Słupi nie drogą, ale wprost przez las od strony północnej. Dołem bronią dostępu grzęzawiska, wyżej ścieżki giną w rumowisku, na którym nletrudno choćby i kark skrócić. To gołoborza, słynne zasypane kamieniami, którym Łysogóry nazwę swą zawdzięczają. Istotnie mroczno tu jakoś i niemiło, nawet w najpiękniejsze dni letnie. Ziemię zalega gruby pokład kamieni, wszelkich wielkości, wszelkiego wyglądu. Czasem to wygląda jak zwaliska przedwiecznego zamku, czasem jak grad kamienny, którym jakieś złe bóstwo w napadzie gniewu wbiło las w ziemię. Tylko, że las nie ustępuje, że pomimo wszystko młode drzewka wydzierają się z pod kamiennego płaszcza i jest w tej rozpaczliwej walce jakaś niepojęta zaciekłość i groza, zwłaszcza gdy stare po bokach stojące jodły pochylają się w podmuchu wiatru i wydają z siebie ten dziwny, właściwy im suchy klekot, jakby stękanie, jakby jęk głuchy.



GOŁOBORZE.

Ze zbiorów P. T. Kr., fot. M. Wisznicki.

Jest też tuż obok „drogi królewskiej” miejsce, którego, o ile wiem, nikt prawie nie chodzi odwiedzać. Dołem krze gęste, górą jak wszędzie kolumny jodeł. Wśród nich na łagodnym zboczach wzgórza krzyż wielki, usypany z kamieni, do kilkudziesięciu kroków wzdłuż większego ramienia mający. Co to? Kto tu leży, kto sywał te kamienie, dziś już gęsto krzakami przerosłe. Nikt z miejscowych nie umiał dać odpowiedzi, choć niewątpliwie krzyż był ludzką ręką sypany i w nienazbyt odległych czasach.

Kiedym tam był poraz pierwszy, był wietrzny krwawy zachód po słońcu—na tle tej pożogi mrocznie i posępnie tkwiły potężne pnie jodeł, stojących jak straż nad rozciągniętym na mchach leśnych rycerzu-olbrzymie. Po niebie gnały jak tabuny rozszalałych rumaków rdzawe, rozwichrzone obłoki, las grał jakąś pieśń smutną, niezapomnianą, z każdej szpileczki jodeł, z każdego listka

mchu zdawała się sączyć krew żywa, stygnąca...

Z ciemnej, sobie samej tajonej pomroki wstają w zmaconej duszy jakieś mary, jakieś widziadła. Jak żeby się odwaliła z głuchym łoskotem płyta grobowa, jak żeby zgrzytnęły zardzewiałe, z dawien dawna nieotwierane wrzeciędzie...

A tuż obok i klasztor, od otaczającego go kołem boru ciemny, prawie ponury, od dogasającej pożogi chmur krwawy, niemal straszny. Ktoś z pustoty uderzył w wielki, prastary dzwon. Od potężnego dźwięku drży, zda się, cała góra kamienna, pręży się i rozpręża, jak ktoś, co śni zły sen... Ziemia tu jest od wieków przesiąknięta nie tylko chwałą, ale bólem i krwią. W to świętością i bogactwami słynące miejsce były jedna za drugą fale najeźdźców, coraz gorsze, coraz groźniejsze, tatarskie, litewskie, szwedzkie... Aż nie zostało nic, jeno pamięć o nich, te trochę murów i bór.

St. Thugutt.



Słownictwo naukowe i gwary ludowe.

2

Wyznaję, iż o ogromnie bogatym słownictwie góralskiej gwary tatrzańskiej nabrałem należytego pojęcia dopiero wtedy, gdy się zabrałem do opracowania słownika tej gwary i z tego powodu musiałem wczytać się w piśmiennictwo narzeczone i wsłuchać się uważnie w ustną mowę ludu góralskiego, w jego pieśni, opowieści, przysłowia, zagadki. Zdumiony byłem nadzwyczajną twórczością słowniczą tego ludu, a śmiało rzec można, że ich gwara stosunkowo t. j. jeśli się uwzględni osobliwe stosunki i okoliczności, w jakich przyszło temu ludowi żyć od wielu wieków w odosobnieniu górskim, oddzielonem do niedawna lasami nieprzebytymi od świata—przedstawia się pod względem obfitości wyrazów bogaciej, aniżeli niejeden język narodu, zajmującego wybitne miejsce w świecie cywilizowanym.

Mamyż nie czerpać z tego źródła, wytryskującego "wodogrzmotami" na naszej własnej ziemi, wodogrzmotami jędrnych a najściślej różniczkujących wyrazów?

Tym razem pozwolę sobie zwrócić uwagę naszego ogółu na jedną część skarbu gwarowego, mianowicie na ziemiopisne i miejscopisne wyrazy mowy tatrzańskiej, któreby w całości należało przyswoić językowi naszemu, jako zwroty zwięzłe, jędrne, z staropolszczyzną spojone, jako zwroty, których nasz język literacki nieposiada a na których objaśnienie, jak się poniżej okaże, trzeba często całego opisu.

Wprawdzie cząstka tych wyrazów od czasu, kiedy Zakopane stało się „letnią stolicą Polski“, weszła u nas do geografii i turystyki, jednak tylko bardzo mała cząstka, a właśnie ta okoliczność, albo raczej względ, iż zbyt mało przyswoiliśmy sobie z słownictwa góralskiego, skłania mnie objąć całokształt łośniczy gwarowy z tego zakresu wraz z już srzyjętymi przez nas wyrazami, by postawić przed oczy pełny obraz bogactwa gwarowego w tym kierunku, z którego nie korzystać znaczyłoby zapoznać przyrodzone skarby naukowe

Oto poczet z tego zakresu wyrazów:

1) banior: wir wody, 2) bor: torf, 3) borowaczna: bagno w górach, zarosłe mchem i kosówką, w którym utonąć można, 4) brzyzek: wszelka wyniosłość ziemi, 5) bule: piętra powstałe w Tatrach przez połączenie boków dolin za pomocą poprzecznych zawór skalnych, które opierając się erozyi, dzielą dolinę na osobne, coraz wyższe piętra, 6) burtnica: mały wodospad 7) cisy-na: miejsce w lesie, wolne od przewiewu wiatru, zacisze; 8) cirla: polanka w lesie, powstała wskutek ob-

dzierania drzew z kory, 9) cub, cuba: wyniosły, zaokrąglony szczyt góry, 12) cubrzyński: wygryziony na granitowej grani szczyt, 11) drapa: mały rzadki las świerkowy, 12) glon: porost przy źródle, 13) głąz: skała z łupku, 14) grań: grzbietowa linia góry lub pasma gór, 15) grapa: stromy grzbiet góry, miejsce spadziste, urwisko, 16) graźnia: dziura w skale lub w ziemi, 17) graźń: ciemna jama, 18) groniówka: suchy kamień rozsypujący się w żółtą glinę, 19) gron, gronik: rozłożysty grzbiet góry, tak iż grzbiet pagórka t. z. odosobniony wierz, odosobniony wierszek, 20) hajnica: łąka w polu, na której się wiosną, zanim śnieg zginie w halach, bydło pasie, a tak samo w jesieni po skoszeniu siana, 21) hola (hala): dolina górską w Tatrach, pastwiska górskie, czasem góry same, 22) hamisko: miejsce tokowania głąszców, 23) hyl: miejsce otwarte, wystawione na wiatr najsilniejszy, 24) hyrb: spadziste wzgórze, 25) hyrba, hyrbik: grzbiet, grzbiecik wzgórza, 26) hłopki: wygryzione z posad skalnych pionki na turniach, 27) hodnik: ścieżka, droga górską, 28) jarek: mniejsza płynąca woda, strumień, także dół napełniony wodą, 29) jaz: skała wystająca na dnie potoku, 30) kamieniec: brzeg potoku kamieniami zawalony, także część łożyska potoku kamienista przy zwykłym stanie wody sucha, 31) kaplina: miejsce wyniosłe w górach, wolne od śniegu, 32) kira: zakręt, miejsce obszerniejsze na zaczęciu drogi w górę prowadzącej, 33) kira dolina: dolina kręta, 35) kącina: wrąbek w lesie pod kątem, 35) komin: zleb ze stromymi ścianami, 36) kopa: góra z okrągłym wierzchem, 37) kopce: wysuszone cegielki torfu służące do palenia, 38) kresanica, kresanica: skała pionowa stroma, 39) ławica: strome zbocze wysokiej góry, 40) łas: miejsce w górach wypalone z zarośla, 41) łąg: rola zasiana nad rzeką lub potokiem górskim, 42) łązek: mała równina nad brzegiem rzeki górskiej lub potoku, 43) mroźnica: zagroda dla bydła w halach, zrobiona z całych, nieobciosanych smereków, 44) myziorki: wązkie przejście między domami wsi góralskiej, odgraniczające je od siebie, którego połowa należy do jednego, a połowa do drugiego domu, 45) nowoć: pole po raz pierwszy uprawiane po wycięciu i wykarczowaniu lasu, 46) obłazy: droga w skale, wymijająca zleby; 47) obwał: lawina, 48) okrąglica: turma okrągława, także wielki kamień okrągławy, 49) oraczna: pole wyrobione do orania na miejscu zrabanego lasu, 50) ostryz: odosobniony pagórek,

51) pasieka: pole zarosłe młodeymi drzewami lub krzakami, położone na górze lub na jej pochyłości, 52) pecka: kamień znaczący miedzę, 53) piarg, piargi: usypisko, usypiska kamieni w górach; bywają drobne piargi (małe usypiska) i hrube piargi (wielkie usypiska); 54) piarzysta dolina: dolina z usypiskiem kamieni, 55) płania: szeroko rozlana, niegłęboka woda; 56) płasienka: równina, 57) płasnia: łąka wśród lasów, także większa równina, gdzie dawniej istniało jezioro; 58) plosko, plosek: mały dół w potoku, 59) plos: jezioro, także głębokie miejsce w rzece, gdzie jest spadek — dziura w rzece, wybita wodą, 60) pogrzeb: miejsce w szałasie, gdzie się pali ogień; 51) półoga: płaszczyna mało nachylona, 62) przegonisko: droga do wygonu bydła pomiędzy polami, 63) przehilinka, przegiba: miejsce w górach na pochyłości leżące, 64) przełęcz, przełęczka: miejsce nieco spłaszczone na grzbie-

towej linii góry lub pasma gór, przez które przejść można na drugą stronę góry, 65) pustacie: pustki, nieużytki, 66) puścizna: torfowisko, 67) pyrc, perć, perdecka: ścieżka, ścieżeczka w górach albo w polu, 68) rąbanisko: miejsce, na którym wyrąbano las, 69) regiel: wierz góry lesisty, 70) regle: lasem pokryte podnóża wysokich gór, 71) rośtoka: miejsce w dolinie górskiej, przez które przepływają potoki z dwóch stron, także miejsce odpoczynku w górach, 68) rumek: szuter, 73) rummy, rumiska: porozrzucane w nieładzie głazy różnej wielkości w górnej części doliny, pod samym grzbieciem, jedne na drugich leżące, 74) rygiel: odnoga górska skalista, 75) rypa: wielkie rumowisko skał zarosłe, 76) samorót: skała pod ziemią orną, 77) sikla: zielonkawa-niebieska glina, 78) sikława: wodospad, 79) siodło: tyle co przełęcz, zwykle w wysokich górach.

d. n.

G. Smólski.



Sven Hedin w Tybecie.

14)



LAMA W MASCE.

Wnet potem rozpoczyna się właściwa ceremonia. Taszy-lama zdejmując mitrę i oddaje ją jednemu z braciszków służebnych, a za jego przykładem zdejmują i wszyscy świeccy panowie swoje grzybkowate nakrycia głowy. Z za podniesionej zasłony dolnej galeryi ukazuje się dwóch tancerzy w straszliwych maskach na twarzy, w jaskrawych ubiorach jedwabnych z szerokimi, głęboko rozciętymi rękawami i zachynają na dziedzińcu

wolny, kołem zataczający się taniec. Potem zaś następuje uczczenie taszy-lamy przez jedenaście najznakomitszych w Taszy-lunpo chorągwi, z których każda ma na sobie wizerunek jednego z potężnych bóstw religii lamaistycznej. Chorągwie te, poprzyczepiane

i nawinięte na długie drążki, przynoszą kolejno przed oblicze taszy-lamy, rozwijają, oddają niemi hold i znowu nawinawszy na drążek ustępują miejsca następnej. Przez tłum, po rozwinięciu każdej z nich, idzie głuchy, głęboki jak westchnienie, szmer.

Po krótkiej pauzie znowu rozbrzmiewają dźwięki trąb i poprzedzona przez kilku lamów w białych maskach i białych ubiorach ukazuje się procesja mnichów niosących różne przedmioty, poświęcone kultowi: naczynia kościelne, złote kubki i czary, kadzielnice, z których buchają kłęby wonnego dymu; niektórzy mają na sobie pancerze i broń, inni uginają się prosto pod ciężarem niesłychanie kosztownych ubiorów z czerwonego, niebieskiego i żółtego jedwabiu, gęsto naszywanego złotem. Dalej idzie sześć trąb miedzianych, okutych w mosiądz, każda przeszło trzy metry długa, a tak ciężka, że ją dwóch ludzi nieść musi; za trąbami idą flety, a za fletami czterdziestu strojnie i kosztownie przybranych doboszów, którzy bęben swój niosą podniesiony na pionowym drążku ku górze, a biją w niego esowato wygiętą pałeczką. Pochód zamykają cymbały, którymi brząkają czerwono ubrani muzykanci i „wielki czarny” t. j. na czarno ubrany mnich z dzwonkiem w ręku. Cała ta orkiestra rozsiada się na rozestanych

w dziedzińcu kobiercach, trąby opuszczają się ukosnie ku ziemi, dobosze zasiadają w kilka równoległych do siebie rzędów i przy jej nietyle może

różne grupy i tylko straszliwe, dyabelskie maski na twarzy tancerzy mogą dziś straszyc i wstrząsać sumieniem wiernych. A i tak pomimo szcze-



ZAMEK W SZIGATSE.

wdzięcznych, co grzmiących tonach rozwija się dalszy ciąg ceremonii. Melodye są naogół poważne, czasem tylko uderzenia bębnow stają się mocniejsze i szybsze, trąby i flety podążają w gwałtownym crescendo za nimi i obcy słuchacz mimowoli robi uwagę, że już przy znacznie mniejszej ilości hałasu można dostatecznie ogłuchnąć.

Na jednej z galerii, okrążającej dziedziniec, dyrygują ceremonią za pomocą trzymany w rękę dzwonek trzej przełożeni klasztoru, z których każdy ma tysiąc mnichów pod sobą; że zaś ogółem jest ichu czerech, (czwarty jest nieobecny wskutek choroby) liczba zatem braciszków przedstawia się wcale okazale. Jakoż istotnie jest ich w Taszylunpo 3,800!

Ale oto znowu unosi się zasłona nad szczytem wiodących z głębi gmachu na dziedziniec kamiennych schodów i jakaś zamaskowana postać występuje z czarą pełną krwi koziej. Trzymając w wyprostowanej ręce daleko od siebie czarę, kręci się mnich wolno w koło, tańcząc jakiś święty, mistyczny taniec, poczem wylawszy na schody krew, którą kilku braciszków natychmiast podbiega zetrzeć, tańczy dalej z obiema już rękami szeroko rozpostartymi, z czarą obróconą do góry dnem. Są to pewne jakieś pozostałości z czasów zamierzchłych, z czasów, kiedy łała się w Tybecie krew innych ofiar, poświęconych złym bóstwom na przebłaganie, a lamaizm, złagodniejszy krwiożerczość pierwotnego kultu barbarzyńców, zatrzymał przecie jakby odbłask i niektóre cechy formy, dziś już tylko będącej symbolem.

Teraz wygląda to wszystko łagodniej, redukując się do nieskończonych tańców, wykonywanych przez

rego i głębokiego przejęcia się widowiskiem, o strachu wśród tłumu niema wszak mowy. Nie dzieje się im źle coprawda. Wprawdzie dozorczy czy liktorzy chodzą ciągle wzdłuż pierwszych szeregów, nie szcędząc w razie potrzeby sutych uderzeń batem, ale tuż koło nich jest pełno lamów niższego rzędu, roznoszących i częstujących darmo herbatą. Tłum pije, podziwia i sypie na dziedziniec przygarstki ryżu lub zboża, które są ofiarą dla świętego miejsca i na których się gołębie klasztorne i wróble wypasą.

Zbliża się też już koniec uroczystości. Na oczyszczonym z tłumu miejscu rozpala dwóch mnichów ogień, nad którym rozpościerają potem możliwie jak najwyżej wielki arkusz papieru ze spisaniem na nim wszelkimi kłeskami, od jakich nowy, dziś rozpoczęty rok powinien być wolny. Po wypowiedzianych przez trzeciego lamę zaklęciach papier rzucony jest w ogień i wielki, potężny okrzyk radości bucha wraz z ogniem ze wszystkich ust w górę. Wszysko co było złe i co grzechem było jest zniszczone — od dziś dnia nowa, lepsza, czystsza otwiera się przyszłość.

I kiedy jeszcze na obszernym dziedzińcu odtańczono wielki, ogólny taniec, w którym brało udział tylu lamów, ile ich tylko się mogło pomieścić, wyszedł w powolnym pochodzie taszy-lama otoczony swym dworem i w największym porządku i spokoju wychodzić zaczęły tłumy. Czas było wracać do domu.

Po drodze załatwiono się z rewizytą u Ma, który jak wczoraj był niezmiernie uprzejmy, gościnnie i chętny. A w domu już czekali Lobsang-Tsering i Tsaktserkan, którzy przyprowadzili ze sobą całą karawanę objuczoną ryżem, kukurydzą, jęczmieniem i owocami — był to dar taszy-lamy, który uważał przybyszów za swoich gości. Oprócz tego wręczono Hedinowi zawinięte w papierek 46 tengów (około 10 rubli) na mięso, z którym jego świątobliwość nie chce mieć nic bezpośrednio do czynienia. A co najważniejsze, oznajmiono, że nazajutrz o dziewiątej rano czeka taszy-lama Hedina u siebie w klasztorze. Sprawa jednak winna była pozostać sekretem ze względu na podejrzliwość Chińczyków i ich obecną wszechwładzę.



Nic dziwnego, że następnego ranka — 12 lutego — stroił się Hedin i przygotowywał, jak do największego występu, bo tego, co go czekało, dostąpiło zaledwie w najostatniejszych czasach kilku Europejczyków, a i to jako wysłańców i przedstawicieli potężnej, zwycięskiej Anglii, a nie jako zwyczajnych podróżników, przychodzących w imię nauki i swojej własnej, niezłomnej woli.

Już u głównych drzwi klasztornych czekało na niego kilku mnichów. Jak wczoraj rozpoczęła się ta sama wędrówka, przez mroczne, wąskie ulice tajemniczego miasta, przez jeszcze węższe, jeszcze mroczniejsze korytarze i przejścia Labrangu. Ale dziś po kamiennych schodach, w których ciche stopy pielgrzymów i mnichów wyłobily głębokie ślady, jeszcze wyżej się idzie, jeszcze dłużej. Czasem na ciemny, prawie czarny korytarz buchnie z bocznej okna jaskrawe światło, poczem znów wchodzi się w mroki i chłód. Wreszcie w jakimś wyłożonym czerwonymi kobiercami pokoju proszą gościa, żeby się wstrzymał. Jest to przedpokój najpotężniejszego z doradców taszy-lamy, tego samego małego, sztywnego człowieczka, który w czasie wczorajszych uroczystości siedział u jego boku. Teraz przyjmuje cudzoziemca w swoim gabinecie, właściwie w swojej prywatnej celce, małym pokoiku ozdobionym z prawdziwie samorodnym, tybetańskim, nieskaczącym do oczu przepychem. Ściany zasłonięte przez kunsztownie rzeźbione, lakierowane na czerwono szafy, okute bronzami; na szafie pełno posążków lanych ze złota i srebra, lampek w których młdo i miękko migocą światełka, parę obrazów pierwszego laszy-lamy i ksiąg kościoła buddyjskiego, cała masa różnych przedmiotów, służących do obrządków i ceremonii religijnych. Na ławie obłożonej poduszkami czekał już ze skrzyżowanymi nogami sam właściciel tych skarbów, greczny, spokojny, bardzo pewny siebie i bardzo uprzejmy, o delikatnym zarysie twarzy i oczach pełnych inteligencji. Zamieniono podarki — pięknie cyzelowany sztylet z Kaszmiru za pozłacany posążek bóstwa — wypito nieodzowną herbatę i czekano na chwilę, kiedy sam taszy-lama, który teraz pogrążony jest w medytacjach, raczy dać znak, zezwalający na wejście. Czekać na to trzeba było blisko godzinę, a kiedy odpowiednia chwila nadeszła znowuż trzeba było piąć się jeszcze wyżej, aż pod sam szczyt gmachu. Atmosfera była coraz cichsza, coraz pełniejsza uroczystego jakiegoś nastroju. Mówiono już tylko półgłosem, gdzieś niedługo stały małe grupki lamów, przyglądających się przechodzącym w niemym milczeniu. W którymś z pokoi Lobsang Tsering szepcze, że to już jest ostatni przedpokój, że czas jest ogarnąć się i przywdziać czarne obuwie, bez którego nie godzi się stanąć przed jego świątobliwością. Robert i Muhamed Iza — ze względu na niezbędną ko-

nieczność łomacza — mogą towarzyszyć Hedinowi.

Nareszcie — nie bez silnego wrażenia — drzwi stają otworem. Kilka głębokich ukłonów i oto stoi Hedin przed obliczem jednej z głów duchowych Tybetu. Taszy-lama siedzi na ławce przy małym, w niszy okiennej stojącym stolczku, na którym znajduje się filiżanka herbaty, luneta i kilka arkusików jakichś druków. Ubiór jego niczem nie różni się od ubioru zwykłego mnicha: rodzaj czerwonej togi, z pod której czasem prześwieca złotem szyta kamizelka, ręce nagie, włosy krótko strzyżone, czarne. Na jasnej, z leciutkim tylko żółtawym odcieniem twarzy żadnego zarostu — oczy brunatne, wzrost raczej niski niż średni, wygląd 25-letniego, zdrowego, dobrze zbudowanego człowieka. W małych, ślicznie utrzymanych rękach różaniec z czerwonych pereł drzewa różanego.

Skinąwszy łaskawie głową podaje obie ręce podróżnikowi, zmuszając go niemal do zajęcia miejsca przy stoliku. A potem zaczyna się tak dokładny i drobiazgowy a przytem tak delikatny wywiad, jakiemu jeszcze żaden reporter Hedina nie poddawał. Okazuje się, że Panczen-Rinpocze interesuje się wszystkim, wie dużo, nie zadowala się zewnętrzną skorupą rzeczy. Najwprzód wypytuje o drogę, o przygody w dzikich pustyniach Czangtangu, o straty jakie karawana poniosła. Ubolewa nad trudami poniesionymi, żałuje że z powodu niewiadomości o wybranej przez podróżnika drodze karawanę spotykało niezawsze gościnne przyjęcie. Potem szczegóły osobiste: imię, nazwisko, ojczyzna, gdzie leży, czy jest wielka, czy nie jest zależna od obcych, którądy do niej najbliższej i w jakiej porze roku najodpowiedniejsza jest do niej podróż — jak gdyby taszy-lama chciał niebawem swego gościa rewizytować. O różnych państwach europejskich — z wyrażeniem pewnego zdziwienia nad ich ilością — o wojnie rosyjsko-japońskiej, o jej skutkach, o bitwach morskich, pancernikach, o niedawnej podróży taszy-lamy do Indyi, które swojami pamiątkami i świętościami buddyjskimi tak głębokie na niego wrażenie wywarły.

Od czasu do czasu dotyka Panczen-Rinpocze Hedina swoją miękka, prześliczną ręką, jakby go chciał o swojej szczególnej życzliwości przekonać i patrzy na niego takimi czystymi, pełnymi jakiejś szczerzej głębi i wyrazu oczyma, o których możnaby przysiąc odrazu, że nikomu zła nie życzyły. W całym jego wzięciu jest coś niestychanie szlachetnego, coś niebywale wykwintnego a prostego. Pokój też i umeblowanie są zgoła odmienne od tego, co przed chwilą widziało się u jego ministra. Żadnych ozdób, żadnych obrazów, ani nawet postaci bóstw, ani dywanów, żadnych nieomal sprzętów. Pierwsza część bez dachu, otwarta na wszystkie wichury i śniegi zimo-

we, na długotrwałe deszcze jesienne, raczej duży balkon, niżli pokój; w głębi część oddzielona baryerką o jeden stopień wyższa—sypialnia—oto wszystko, oto cały apartament osobisty władcy dusz setek milionów ludzi, od nadwożańskich Kałmyków począwszy po Ocean Spokojny, od mroźnych tundr syberyjskich po skwarne dżungle indyjskie. Z otwartego okna, właściwie przez nieistniejącą ścianę jeden z najcudniejszych w świecie widoków na złote dachy klasztoru, na miasto u stóp jego leżące, na kamieniste pustynie i śnieżne, zamykające je szczyty gór. Marzycielski wzrok młodego arcykapłana błądzi po nich od czasu do czasu, patrząc gdzieś tak daleko, daleko, jakby się dopiero o nieprzebytą ścianę nirwany zatrzymywał.

Podają herbatę, którą taszy-lama też pije, jakby chciał okazać swoją tolerancję dla niewiernego; cicho jak mary snują się lamowie, których taszy-lama skinieniem ręki wysyła za drzwi, ilekroć chce coś drażliwszego powiedzieć. Nie chciałby, żeby Chińczycy wiedzieli zbyt dużo o wizycie cudzoziemca, prosi nawet o dyskrecję, o nierozgłaszanie szczegółów. Natomiast chętnie udziela pozwolenia na zwiedzanie całego klasztoru, na zdejmowanie rysunków i fotografii — sam nawet chętnie

będzie pozował — na podróżowanie po tej części Tybetu, która do niego należy.

Już po dwakroć podnosi się Hedin, chcąc przerwać wizytę i po dwakroć zatrzymuje go taszy-lama, prosząc o pozostanie. Tak przeszło z górą trzy godziny. Ileż milionów wiernych oddałoby kilka lat za życia za setną część tego czasu, gdyby go mogli spędzić w towarzystwie wcielenia bóstwa, widywanego rzadko, z oddali, w otoczeniu urzędowego przepychu i pompy. Już nawet twarze lamów, wchodzących do pokoju, zdradzają duże zdziwienie, a kiedy nareszcie szczęśliwy cudzoziemiec opuszcza próg, głowys chylają się przed nim nisko, oczy otwierają się szeroko i ze zdziwieniem.

Przed wyjściem—złożenie podarku. W ręce taszy-lamy przechodzi jedna z aluminiowych apteczek podróżnych, która wprawia go w zachwyt. Ale ostrzeżenie Hedina, żeby przy używaniu lekarstw zachować największą ostrożność i zasięgać rady lekarza misji angielskiej w Gartoku — przybocznik lamowie przyjmują z uśmiechem: podług nich europejczycy w sztuce lekarskiej stoją na znacznie niższych szczeblach wiedzy.

(c. d. n.)

St. Th.

Nowe książki.

1) *W. G. Prawidła pogody. Oparte na spostrzeżeniach meteorologicznych podał... „Książki dla wszystkich“, nr 508. Wydawnictwa M. Arcta, w Warszawie 1910 r. Cena 10 kop.*

2) *Instrukcja dla stacji meteorologicznych sieci warszawskiej. Warszawa 1910 r.*

3) *O urządzeniu i prowadzeniu stacji deszczowej. Warszawa 1910 r.*

Należy się spodziewać, że na skutek odezwo i starań Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w kraju naszym powiększy się znacznie ilość stacji meteorologicznych i deszczowych; brakowało tylko odpowiednich instrukcji. W porę więc ukazała się książeczka p. W. Gorczyńskiego, jako też dwie instrukcje, wydane staraniem Biura Meteorologicznego przy Muzeum w Warszawie.

Dziełko p. t. „Prawidła pogody“ składa się z dwóch części. W pierwszej podane są 74 prawidła pogody podług znanych niemieckich zestawień prof. Michelsona, opartej na racjonalnej obserwacji różnych czynników meteorologicznych, jak również na wskazaniach poszczególnych przyrządów. Prognozy te znalazły mniejsze lub większe uzasadnienie w teoriach meteorologii nowoczesnej. Obok reguł prof. Michelsona podano

także kilkanaście reguł prof. Ellemanna, opartych wyłącznie na obserwacji chmur i kierunku wiatru.

Druga część zawiera krótkie i przystępne omówienie wszystkich koniecznych wiadomości o sposobie prowadzenia spostrzeżeń meteorologicznych dla stacji II, III, IV-go rzędu i narzędzi ku temu potrzebnych. Wiadomości te zostały wzorowane i przystosowane do instrukcji sieci meteorologicznej warszawskiej, przedewszystkiem więc zostały uwzględnione pomiary ciśnienia atmosfery, temperatury i wilgotności powietrza, kierunku i prędkości wiatru, wreszcie zachmurzenia i opadów. W rozdziale ostatnim podane są wskazówki, co do wyboru przyrządu i przybliżonego kosztu urządzenia spostrzeżeń.

Spostrzeżeniom, prowadzonym na większą skalę, odpowiadają instrukcje wydane przez Biuro Meteorologiczne w Warszawie. Pierwsza z nich, przeznaczona dla stacji drugiego i trzeciego rzędu, ukazuje się już w 3-im wydaniu, znacznie rozszerzonym i uzupełnionym i oprócz zwykłych spostrzeżeń meteorologicznych zawiera jeszcze wskazówki do pomiarów wilgotności i temperatury gruntu. Wreszcie druga przeznaczona jest dla stacji najprostszego typu i zaznajamia z prowadzeniem spostrzeżeń nad opadami atmosferycznymi.

Dziełka te polecamy uwadze tych wszystkich czytelników, którzy w myśl odezwo polskiego Tow. Krajoznawczego pragnęliby zająć się prowadzeniem obserwacji meteorologicznych.

T. K.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Czcigodnego i zasłużonego badacza przeszłości naszej Zygmunta Glogera spotkał dotkliwie przykry wypadek. Wskutek zakażenia krwi zaszła mianowicie potrzeba odjęcia lewej ręki po łokieć, co też bezwzględnie dokonane zostało. Na

szczęście dalszy stan chorego, któremu jak najdłuższych lat zdrowia i pracy życzymy, nie budzi już żadnych obaw.

Kronika Krajoznawcza.

— Według obliczeń urzędowych przytoczonych przez Kur. Warsz., przedmieście Warszawy, Wola, składające się ze wsi: Wola, Koło, Ochota i Czyste, obejmuje przestrzeni 1,370 morgów i ma obecnie 73,599 mieszkańców. Wolę można nazwać przedmieściem wyrobniczym, gdyż najwięcej tam mieszka wyrobników: we wsi Woli 3,822, w Kole 2,959, w Ochocie 1,203, na Czystem 1,747, ogółem 9,731; ich żony — to również wyrobnice lub robotnice. W czterech wsiach, składających przedmieście, znajdujemy 122 cieśli, 467 murarzy, 791 ogrodników, 648 ślusarzy, 268 kowali, 358 szewców i 244 stolarzy. Liczba pracujących kobiet, liczących powyżej 16 lat, jest 20,560, przewyższa ona liczbę pracujących mężczyzn—18,999. Dzieci wogóle jest 34,040. Niezdolnych do pracy, pozostających więc na koscie rodzin lub żyjących z dobroczynności, jest na Woli 3,512 osób. Wśród tej ludności pracującej liczba nowonarodzonych przewyższa liczbę zgonów (2,907 wobec 2,508 w r. 1909). W tym roku ślubów zawarto 413. Ludność robocza skupia się tu z powodu tańszych mieszkań. Katolików jest 56,109 (oboje płci), żydów 13,961, protestantów 2,247, prawosławnych, 1,282. Od roku 1905 do 1910 z prawosławia na katolicyzm przeszło 196 osób w całej parafii św. Stanisława na Woli.

— Petersburgskie Nowoje Wremia wystąpiło z ostrym artykułem, skierowanym przeciwko gospodarce rządowej z puszczy Białowieskiej. Podkreślając fakt panowania obecnie w Białowieży epidemii karkunkułu i zarazy syberyjskiej, dziennik ów pisze, co następuje: „Wśród administracji białowieskiej niema ani jednego weterynarza. Fakt nieprawdopodobny, ale bezwarunkowo prawdziwy. Jeżeli padnie zwierzę i ktoś przypadkiem na padlinę natrafi, zakopuje się ją prosto i nikt nie wie, co było przyczyną pomoru. Tymczasem jak cenne są żubry, których padło teraz przeszło 40 sztuk, dowodzi fakt, że ogród zoologiczny w Hamburgu za żubra żywego proponował 10 tysięcy rubli. Za sam tylko czerep żubra żydzi komisjonerzy ofiarowują 500 rubli“.

— Korespondent Kur. Lit. z Mińszczyzny opisuje smutne stosunki, panujące w dziedzinie gospodarki rolnej i leśnej na Polesiu. „Do najpoważniejszych bolączek naszego bytu ekonomicznego, należy nieszczęsna historia nabytych przez bank Włociański od rodziny

von Derwizów majątków: Łachwy i Merlina. Dobra te, należące ongi do Radziwiłłów, przed laty trzema nabył Bank Włociański za sumę, nie będącą w najmniejszym stosunku do realnej wartości gruntów, które, pomimo zupełnego braku warunków, przeznaczono jednak na parcelację pomiędzy włocian. Przy kupnie przeplacono tak bardzo, że dziś wedle wiarogodnych informacji, rząd gotówby stracić na całym tym interesie do 600,000 tysięcy rubli, byle wypłacić się z fatalnej kombinacji, w jaką wpadł, kupując moc nieużytków, dzikich błot, piasków etc. Ale, zdaje się, że i to ustępstwo nie wiele pomoże, bo włocianie kupują tylko tę ziemię, która im się na cokolwiek przydać może i w ten sposób nabyli już około 1/5 część Łachwy. Dalsza sprzedaż, a także parcelacja takiego Merlina (który np. posiada 10,000 dziesięcin dzikich błot, zakwalifikowanych jako zalewne łąki) są to rzeczy wprost niemożliwe nawet!“

— Jeden z uczestników wycieczki z Lubawy na pole grunwaldzkie tak je opisuje w Kurjerze Poznańskim: „...Ruszyliśmy gromadnie na pobojuwisko, zdążając do głązu pamiątkowego. Droga wiedzie początkowo wprost na południe, potem skręca na zachód w stronę Grywałdu (Grünfelde), gdyż tak ludność tamtejsza nazywa miejscowość, noszącą w historii niezmiernie nieuzasadnioną nazwę Grunwaldu. Po obu stronach drogi zamiast poległych rycerzy, szczątków rozbitych pancerzy, mieczów i trupów końskich, rozpościerają się dziś prozaiczne pola zboża i kartofli. Wreszcie skręca droga na wzgórze, na którym sterczy olbrzymi głąz pamiątkowy. Dawniej głąz ten leżał w pobliżym lasku i zwany był „głązem Jagiełły“, bo, jak niesłusznie podanie, odpoczywał na nim po walce król polski. Od Tannenberga do Grunwaldu ciągnie się pasmo wzgórz, na którym ustawili swe szyki Krzyżacy. O kilkaset metrów na wschód znajduje się lekka wklęsłość. Tu zderzyły się obydwie wojska nieprzyjacielskie i walczyły zażarcie przez kilka godzin bez przerwy, aż wreszcie Krzyżacy ustąpić musieli na swe pierwotne stanowiska na wzgórze i tam do reszty wyginęli. Na tem miejscu, na którym pogrzebano podobno kilkanaście tysięcy poległych, wystawił Henryk von Plauen, obrońca Malborka, kaplicę, która jednak reformacji nie przetrwała. Jeszcze na początku przeszłego stulecia widoczne były resztki gruzów tej kaplicy, aż wreszcie w ostatnich czasach umieszczono tam głąz wspomniany wyżej i urządzono w koło niego małe zagajenie. Na głązie wyrzyto napis pretensjonalny: „Im Kampf für deutsches Wesen, deutsches Recht starb hier der Hochmeister Ulrich von Jungingen, am 15 Juli 1410 den Helden Tod“. Oznaczenie miejsca jest zupełnie dowolne. Niema najmniejszego dowodu na to, że tam właśnie padł wielki mistrz“.

— Spostrzeżenia nad przelotem ptaków. Jedna ze stacji ornitologicznych (Rossitten) w Prusach Wschodnich bada od wielu lat wędrówki ptaków zapomocą nakładania niektórym osobnikom znaczonych obrączek metalowych na nogi. Stacja ta podaje wiadomość o dwóch nowych faktach, dotyczących bocianów, które z Prus Wschodnich odleciały do Afry-



ki. Jeden z tych ptaków, znaczony w Prusach w mies. sierpniu 1908 roku, zabity został tegoż samego roku w listopadzie w Sudanie nad brzegami Białego Nilu. Drugi bocian opatrzony obrączką w lipcu 1907 r. zabity był na początku 1909 r. przez buszmenów w pustyni Kalahazi. W wędrówce swej z Prus ptaki kierują się na południe w górę Wisły, a następnie przez Węgry. Dalej następuje przerwa w szeregu spostrzeżeń, gdyż pomiędzy Węgrami a lądem Afryki dotąd nie spotkano żadnego bociana z obrączką. Przypuszczać należy, że ptaki przelotne z Węgier przepływają się prawie w prostej linii przez morze Śródziemne, a następnie ciągną w górę Nilu.

+ W Kuryerze Poznańskim czytamy: na jednym z tartaków w Prusach Zachodnich piła, przeryzując kłoc ze starej sosny, natrafiła wewnątrz na twarde przedmiot. Po bliższem zbadaniu znaleziono wewnątrz kawał granata, ważący około 7 funtów, a obok niego kilka mniejszych odłamków, które jednak tak głęboko wewnątrz tkwiły, że z wierzchu najmniejszego śladu nie było. Sądząc z ilości słów, granat przeleżał w sośnie z górą 70 lat. Ponieważ kłoc pochodził z Królestwa Polskiego, więc napewno wnioskować można, że w sosnę trafił granat podczas jednej z bitew w roku 1831, w czasie powstania Listopadowego*.

+ Organ katolików niemieckich Rzeszy, Germania, donosi że komisya kolonizacyjna zamierza nabyć część majątków księcia Thurn i Taxis pod Krotoszynem. Z odpowiedzi, danej pewnemu protestanckiemu nauczycielowi przez władzę szkolną, wynika, że rząd zamierza wykupić część dóbr wspomnianego magnata katolickiego i że w przeciągu dwóch lat zamierza tamże wybudować szkołę protestancką i protestancki zbór. Dodać należy, że protestancki zbór istnieje zarówno w Krotoszynie, jak w pobliskim Kobylinie. Germania zwraca się z apelem do księcia Thurn i Taxis, by przez pozbycie się części swych majątności pod Krotoszynem w ręce komisji kolonizacyjnej nie propagował protestantyzmu w tak katolickiej okolicy.

+ Zagłada „kęp” na dolnej Wiśle. Kępami nazywają piękne wysepki, krzakami i lasem pokryte, które się utworzyły w korycie Wisły, wskutek zmienności jej prądu i głębokości. Z powodu urodzajności

swego gruntu niektóre z tych wysepek są zaludnione. Obecnie jedna z tych najpiękniejszych wysepek, leżąca koło miasta Chełmna, ma uleść zagładzie. Już przed 15 laty utraciła ona swe wspaniałe dęby na obronę przed zatorem lodowym. Obecnie masy ziemi, tworzące wysepkę, przedstawiające objętość 3 milionów metrów sześciennych mają być zniesione dla zasypania dawnej lewej odnogi Wisły. Prócz tej wyspy dwie jeszcze kępy na dolnej Wiśle są zamieszkałe, jedna koło Strzelna, druga t. zw. Wilcza Kępa koło Świecia; ale i one wkrótce w celu regulacji koryta rzeki skazane będą na zagładę.

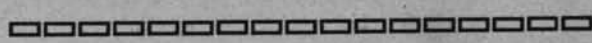


Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorem z Kurlandyi. Podzielając w zupełności myśl Pańską o potrzebie wydania praktycznych wskazówek dla zwiedzających pobojowisko grunwaldzkie, pozwolimy sobie zaznaczyć, że w praktyce nie jest to może rzecz tak łatwa, jakby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać, chociażby dlatego, że miejscowości historycznych na ziemiach dawnej Rzeczpltej jest bezmiar i że sam ogrom pracy utrudnia jej wykonanie. Poprzestajemy na razie na zanotowaniu, że Grunwald (niem. Grünfelde) i Sztymbork (niem. Tannenbergl) leżą w pow. ostródzkim (Osterode) w Prusiech Wschodnich w pobliżu linii kolejowej, łączącej Mławę z Malborkiem.

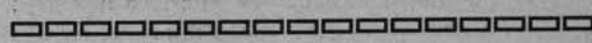
Sklepikarzowi. Najmniejsza ilość dla handlujących — 100 sztuk. Bliższe warunki listownie po podaniu adresu.

NADESŁANE.



SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSY i t. p.

□ poleca: **PIERZCHALSKI, Szpitalna 5.** □



TREŚĆ: Cz. Statkiewicz. — „Idee przewodnie antropogeografii“; Wł. Leszczyński. — „Dwa zabytki Jurborga (z 2 ilustr.); Gustaw Manteuffel. — „O zamkach polsko-inflanckich“ (z 1 ilustr.); St. Thugutt. — Bór łysogórski (z 2 ilustr.); G. Smólski „Stownictwo naukowe i gwary ludowe“; St. Th. Sven Hedin w Tybecie* d. c.—(z 2 ilustr.); T. K. Nowe książki. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Kronika Krajoznawcza. Odpowiedzi Redakcyi.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i łąkał Wacław Domański — Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec.**